

Nieustraszeni stróże miasta Polkowice

I.

Christoph Vogel ziewnął szeroko pod sumiastym wąsem, nasunął kaptur opończy na czoło i chwycił do ręki latarenkę. Służba nie drużba, pomyślał, choć chętnie położyłby się pod pierzyną obok młodziutkiej małżonki Margarety. Choć Christoph wkroczył w wiek męski już dawno, jakoś nieśpieszno mu było do żeniaczki, pewnie i dlatego, że nocami pracował jako miejski stróż, a całe dni przesypiał, to gdzieżby miał wybranek serca spotykać? Młode panienki z dobrych polkowickich domów po nocach nie włóczyły się po mieście, a te, które w zaułkach można było spotkać, uciekały spiesznie przed blaskiem jego latarni, częstokroć wiodąc ze sobą na grzeszną drogę jakiegoś przybysza – bo przecież mieszczenie przykładnie spędzali noce we własnych łóżach, przy prawowitych połowicach. Tfu, nawet na samą myśl takich bezceństw Vogel czuł zimne mrowie wzdłuż kręgosłupa! Ale on tu jest z ramienia Rady Miasta do tego powołany, aby Polkwitz świeciło blaskiem moralności, tak we dnie jak i w nocy. No i chyba za tę niezłomną postawę los zesłał mu tak porządną, miłą, dorodną córkę piekarza. Wracając porankiem ze służby Christoph, wiedziony ponętą wonią świeżych bochnów razowca, zaszedł w pobliże domu piekarza, a tam na progu niby wschodząca jutrzienka, z koszem chlebów i bułek stała ona – Margareta. W ten oto sposób Christoph ze starego kawalera, z którego podśmiewały się sąsiadki, a szanowni rajcy miejscy kręcili nosami – że jak rodziny nie założy, to może do kufla częściej zaglądać zacznie – zmienił się w młodego żonkosia. Margareta, choć mężatka, nadal nocami pomagała w ojcowskiej piekarni, dlatego mniejszy żal był łoże opuszczać i stawiać się na obchód.

II.

Johann Wurm przeciągnął swój nieprzeciętnie długi kręgosłup i pomyślał, że trzeba wstawać, bo słońce znikło nad horyzontem. Schronił się w stajni jakiegoś chłopka-roztropka mieszkającego tuż przy bramie Głogowskiej. Blisko stąd do gościńca, który był miejscem pracy Wurma. Choć czasy niespokojne, wojenne, ale ludzi bogatych to nie zrażało, zwłaszcza tych, co na wojnie potrafili jeszcze większe pieniądze zrobić. Kupcy, szlachcice, wojskowi kurierzy pędzili tędy i zajeżdżali na noc do polkowickich zajazdów, jak choćby do paradnego „Pod Trzema Murzynami”, tuż przy samym ratuszu i domu modlitwy ewangelików. I właśnie

tam dziś czatował mały pomocnik Johanna, jedenastoletni Frycek. Miał się kręcić przy placu, udając mnicha, a pod stałą obserwacją mieć powozy i dyliżanse zajeżdżające przed zajazd. Johann Wurm, czyli Robak, przezywany tak ze względu na wysoką i chudą sylwetkę, ale też dosyć oślizgły sposób bycia, chętnie sięgał po cudze mienie, niezbyt starannie pilnowane. Polkwitz, leżące przy gościńcu z Berlina do Wiednia taką okazję dawało mu nader często. Dorobił się już niezłej sumki, skrzętnie ukrytej w bezpiecznym miejscu na starość, która odebrawszy wzrok, gibkość i czujność złodziejom odbiera i chleb, Johann postanowił przyuczać do fachu jakiegoś chłopaczka. Frycek był sierotą, zebrzącym na przemian pod polkowickimi świątyniami: paradnym, parafialnym, choć ostatnimi czasy nieco świecącym pustkami kościołem katolickim św. Michała oraz prostą, ale schludną drewnianą budą ewangelików, którzy ledwo się w niej mieścili na nabożeństwach i coraz głośniejsze mówiło w mieście, że trzeba by wystawić zbór z prawdziwego zdarzenia. Czasem na jarmarkach Fryc zwędził sakiewkę temu czy owemu gospodarzowi, który doskonały utarg świętował sznapsem bądź kufelkiem gaworzyckiego piwa i wtedy straciwszy czujność, stawał się łupem sprytnych dłoni niepozornego sieroty. Tak przy pracy rozpoznał go Wurm i miał tępić konkurenta, wyczuł, że ten maluch jeszcze się może przydać. No, pora sprawdzić, kogo tam Frycek wypatrzył „Pod Trzema Murzynami”.

III

Christoph Helbich, nadciągnął od placu Solnego w kierunku Rynku. Jako stróż z krótkim stażem niby miał pilnować opłotków i krążyć przy miejskich murach, mistrzowi Voglowi zaś oddając strategiczne centrum miasta, ale kasztan przed „Trzema Murzynami” tak nęcił obfitym kwieciami, że Christoph choć na chwilę chciał się w jego cieniu zatrzymać, zamienić słówko ze starszym kolegą, może na spytki wziąć – wszak stary Vogel niedawno wszedł w stan małżeński, więc i opowiadać miał co, zwłaszcza jak młodzieniec chętny do słuchania się trafił. Christoph Helbich przez ojca bardzo surowo chowany, o kobietach pojęcie miał mgliste, a pastor na kazaniach groźbami piekła jeszcze bardziej zniechęcał do samodzielnych badań tematu płci pięknej. Niemniej jednak w ostatnim czasie tęskne westchnienia Chrisatopa Vogla, jego wzmianki o krągłościach Margarety, takie dziwne uczucia w młodym majstra imienniku wzbudziły, że sam zaczął jak odurzony na służbie chodzić i kwieciami na kasztanowcu się zachwycać. Półprzytomny od majowego śpiewu słowika, woni kwitnących drzew, owiany ciepłem bijącym ze stajni przy zajeździe, Christoph dojrzał na szczycie gospody dwie samotne sylwetki: jedną długą, wysmukłą, w bieli, jakby cienki dym

nad ogniskiem się unoszący. Druga niższa, szarawa, w mnisim chyba kapturze. Z pewnością dusze pokutujące! Bezecnicy, którzy przy gospodzie dziewczki uwodzili i na złą drogę sprowadzali! Na pewno powrócili z zaświatów, aby zawczasu przed mękami piekielnymi Christopha przestrzec! A kysz, grzeszne myśli o piekarni, a kysz!

IV.

Frycek sierota, nieznanego pochodzenia, w ostatnim czasie terminator u złodzieja Wurma, uważał, że Johann się starzeje, traci swą zawodową czujność. Kto to widział tak w publicznym miejscu, na samym Rynku, przy zajęzdzie, gdzie zawsze ktoś się kręci – kazać mu paradować, i to jeszcze w rzucającym się w oczy stroju kleryka. Wszak katolicy, jacy jeszcze w Polkwitz przy wierze przodków trwali, po ostatniej wojnie religijnej, niepewni swej przyszłości coraz ochotniej na wiarę Lutra przechodzili. Tym bardziej pobożny zakonnik katolicki rzucał się w oczy. A powinien być jak cień, który cicho i niepostrzeżenie za bogaczem kroczy, jakby jego własną rękę do sakwy wkłada i całkiem jak swoim majątkiem kupca-głupca się rozporządza. Tak by Fryc zrobił, gdyby mu Johann Wurm pozwolił decydować. Ale nie pozwoli, jeszcze skórę przetrzepie za wymądrzanie się i podważanie autorytetu. Oto sam Wurm, przemyka wzdłuż podcieni zajazdu „Pod Trzema Murzynami” – idiota kompletny, w koszuli białej, jakby dopiero co z siana w stodole wstał! Jeszcze tylko brakuje, żeby go stróż na gorącym uczynku przyłapał i do miejskiej „kozy” przy ratuszu wsadził, o chlebie i wodzie, a potem pewnie w konopnym naszyjniku publicznie okazał. Co za partactwo! A tutaj okazja nieprzeciętna. Właśnie do gospody zawitał pruski kurier, wiozący meldunki, rozkazy, a z pewnością i żołd dla stacjonujących nieopodal regimentów. Zdrożony podróżą, padnie za chwilę na posłanie, oczywiście drogocenną torbę pod tłustym brzuchem ukryje, ale przecież taki łup to nie pierwszyzna dla doświadczonego Wurma-Robaka, ze swej śliskiej ręki znanego! Trzeba tylko wspiąć się na poddasze, gdzie wojak nocuje. Frycek od tyłu budynku już przystawił drabinę, tylko ta mnisia kiecka nogi płacze, a i sam Johann w długiej koszulinie po szczelkach może się omsknąć i z wysokości zlecieć. Udało się jednak złodziejaszkom do samej kalenicy bez szwanku na ciele dotrzeć, do okienka zakraść i ciężką sakwę wykraść. Sapiąc i jęcząc pod jej ciężarem, wypominając sobie nawzajem rzucające się w oczy stroje, wdali się w kłótnię półgębkiem prowadzoną. Johann nawet zniecacka kuksańca wsadził Fryckowi, na co ten zawył długo i żałośnie: „Auuuuu”. I wtedy spod bujnego kasztana na dziedzińcu doszły ich przerażone okrzyki: „Duchy, dusze potępione, a kysz! A kysz!”.

V.

Z raportu nocnego stróża, Christoph Vogla, w Polkwitz, za panowania Miłościwego Króla Niemiec Fryderyka II, roku pańskiego 1742, w piątek po Bożym Ciele 25 maja.

Jako żem służbę na Rynku pełniąc, swój zwykły obchód nocny czynił, ku bezpieczeństwu i moralności mieszczan, krótko przed północą na dachu zajazdu „Pod Trzema Murzynami” dwie dusze potępione dojrzałem. Jeden duch był biały i długi, drugi mniejszy i szary niczym mnich, po kalenicy się przesunęli, po czym coraz mniejsze ich sylwetki oddaliły się w górę, w nieznanym mi kierunku. Co potwierdzić może drugi stróż Christop Helbich, którego pod kasztanem na dziedzińcu całkiem od przerażenia widokiem tym roztrzęsionego znalazł. Chłopak tylko na dach wskazywał, a kiedym go docucił z manierki, którą zawsze przy sobie noszę podczas służby, poszedł ze mną na tył zajazdu. Nie było tam żywego ani martwego ducha, jeno leżąca wzdłuż ściany drabina. Kiedyśmy szacownego pana karczmarza Lessela ze spoczynku nocnego wybudzili i poprosili, aby sprawdził, czy gościom jego jakie niebezpieczeństwo nie grozi, po rozmowach z owymi powiedział tylko, że kurier dragonów pruskich zauważył, że gdzieś zapodział sakwę z brudną odzieżą, którą pracce miał dać, ale zdronony usnął i nie pamięta, czy jeszcze gdzieś przed bramą od troków się nie urwała. Zatem poleciwszy Bogu opiekę nad gośćmi zajazdu, wraz z Christophem Helbichem na swoje rewiry my się rozeszli.

VI.

Johann Wurm zniechęcony nieudaną kradzieżą, w dodatku omal przyłapany na gorącym uczynku, porzucił swój złodziejski fach, za zrabowane przez lata pieniądze zakupił stragan w mieście i czerpał z niego zyski, a lokalni rzezimieszkowie starannie go omijali, z dawnej zawodowej lojalności.

Frycek do zakonnej sukni się przekonawszy, wędrował po śląskich gościńcach jako mnich żebrzący, aż wstąpił do klasztoru we Wrocławiu. Tam spotkał niespodzianie polkowiczana - dawniej Franca, krawieckiego syna, a obecnie brata Cypriana, zdolnego medyka. Wspólne pochodzenie było początkiem długoletniej przyjaźni. Jemu jedynemu Frycek zdradził, jak z dachu razem z Johannem uciec im się udało. Długą Johannową koszulę i Fryckowy habit

ciepły majowy wiatr poderwał i nadmuchałszy od spodu jak pęcherze, uniósł wysoko nad miejskie dachy. Następnie dwóch złodziejasków bezpiecznie za murami na ziemi podmuch posadził. Tak bardzo historia ta zainspirowała brata Cypriana, że zaczął tajniki lotów zgłębiać i do historii przeszedł jako Latający Mnich. Ale to już zupełnie inna historia...